





## W OSTATNIM „TURNIEJU ROZRYWKOWYM” UCZESTNICZYLI:

(Dokończenie).

Tarnowska St., Gniezno (1, 3, 4); Tatarska Mela, Maleniec (1, 3); Tatomirówna Oleńka, Jarosław (1, 3, 4); Teitelbaum Jakób, Kałusz (×); Teitelówna Pesia, Warszawa (×); Terlikowski Janusz, Goniądz (×); Topolski Tadeusz, Warszawa (1, 4, 15); Trembińska Janinka, Koziegłowy (1); Tusiewicz Jerzy, Włocławek (×); Tydelski Włodzimierz, Warszawa (3).

Urbanówna Marysia, Lwów (4); Uścińska Wanda, Guzów (3, 4).

Wdowiarski Mieczysław, Kielpin (3); Weindling Władysław i Jadwiga, Kraków (3, 4, 7); Weinfeld M., Nowy Targ (1); Weiss Hieronim, Kraków (×); Wesołowski Zbigniew, Wąbrzeżno (1, 4); Węgierska Danuta, Tyśmienica (3, 4); Węgrzynowicz Jacek, Kielce (4); Wielowiejska Janka, Bruksella (Belgja) (3); Wierzbanowska Irena, Rogoźno (3, 8); Wierzbanowski Stanisław, Rogoźno (14); Wierzbicki Wiktor, Rawicz (×); Wierzchucka Hanusia, Łomża (4); Więckowska Julja, Rabka (4, 5); Więckowski Edward, Warszawa (4); Wiszniewska Krystyna, Łódź (—); Wiśniewska H., Warszawa (3, 4); Wiśniewski Staś, Warszawa (3); Wittotówna Helena, Dąbrowa Górnicza (3, 9); Witkowska Zocha, Lewki (4); Wojtaszkówna Janina, Przecław (—); Wolnicki Zdzisio, Warszawa (×); Wołowicz Zbigniew, Borysław (3); Woźniakówna Stasia, Wławie (×); Wójcikówna Ewa, Kraków (3, 4); Wójcikówna Marja, Brzozowa (1); Wysocki Czesław, Sompolno (3, 4); Wysocki Jan, Warszawa (2, 3, 12).

Zacharjewicz Włodzimierz, Dubno (1, 3); Zachwiejówna Krystyna, Uście (×); Zagórski Lech, Ostrów (×); Zagórski Wicek, Wieliczka (V); Zającówna Adusia, Kraków (1, 3); Zajączkiewiczówna Irena, Pakość (3, 4); Zakalikówna R., Warszawa (3); Zamenhof Lutek, Warszawa (×); Zarazkówna Eugenia, Wołkiewicze (×); Zaremba Tadeusz, Warszawa (×); Zarzyckie Helusia i Zosia, Chotyłub (3, 4); Zejma Atus i Wójtus, Warszawa (×); Zeman Józef, Krosno (1, 3, 4); Zieślińska Edwarda, Radom (1, 9); Zuckerkandel Zygmunt, Lwów (1, 4); Zychówna Henia, Wilno (13); Żarnowski Adam, Kielce (—); Żebrok Stefan, Skoczów (4); Żelewski Jurek, Brwinów (8).

III i IV oddz. Szk. Powsz., Grotowice (8); IV oddz. Szk. Powsz., Kwików (3); IV oddz. Szk. Powsz., Przebrodzie (3, 4); IV oddz. Szk. Powsz., Szarkiszki (1, 9); IV oddz. Szk. Powsz., Wólka Zamkowa (1, 2, 3); IV oddz. Szk. Powsz. im. Z. Strzałkowskiej, Lwów (—); IV-a oddz. Szk. Powsz., Kielce (3, 12); IV-b oddz. Szk. Powsz., Warszawa (×); IV i V oddz. Szk. Powsz., Ozierawa (1, 4); IV i V oddz. Szk. Powsz., Rudna Wielka (1, 3, 4); IV i V oddz. Szk. Powsz., Steniatyn (1, 3); V oddz. Szk. Powsz., Górzno (3, 4); V oddz. Szk. Powsz., Kosin (1, 4, 14); V oddz. Szk. Powsz., Sosnowiec (×); V oddz. Szk. Powsz., Zdomyśl (3); V i VI oddz. Szk. Powsz., Dyrwańce (1, 4); V i VI oddz. Szk. Powsz., Kreżna (1, 9); V i VI oddz. Szk. Powsz., Ostrów (3, 4, 9); V i VI oddz. Szk. Powsz., Stanisławice (4); V, VI i VII oddz. Szk. Powsz., Zabrze (9, 12); VI oddz. Szk. Powsz., Łódź (5); VI oddz. Szk. Powsz., Wodzisław (3); VI i VII oddz. Szk. Powsz., Lisice (2); VII oddz. Szk. Powsz., Kołaczkowice (1, 4, 14); VII oddz. Szk. Powsz., Luišno (5, 9); VII oddz. Szk. Powsz., Myślachowice (3, 4); VII oddz. Szk. Powsz., Szeńsk (3, 8).

Szkoła Powszechna, Groszki Nowe (4); Szkoła Powszechna, Jędrzejów (3, 4); Szkoła Powszechna, Kotań (—); Szkoła Powszechna, Kustyń (1, 14, 16); Szkoła Powszechna, Radzanów (×); Szkoła Powszechna (3, 4); Szkoła Powszechna, Sobieszki (4); Szkoła Powszechna, Tłokinia Wielka (1); Szkoła Powszechna żeńska, Ropczyce.

# Plomik

*tygodnik  
ilustrowany  
dla dzieci  
i młodzieży*



## GOSPOSIA.

Marysia mieszka na wsi. Ma swój domek śliczny, bielutki, z błyszczącymi szybkami, z ganeczkiem, podpartym kolumnienkami. Po schodach schodzi się do ogródka, i tu jest, w lecie zwłaszcza, prawdziwy raj. Róże koło domu, a dalej najrozmaitsze kwiaty. Trudno wyliczyć, taka ich moc, aż oczu oderwać nie można. Różne, ślicznie utrzymane ścieżki prowadzą w głąb ogrodu, gdzie są grządki z jarzynami, a wszystkie tu znaleźć można. Ale teraz zima, więc co tu mówić o ogrodzie i kwiatach, kiedy wszędzie białe, śnieg wszystko przykrył.

Ale domek Marysi i wewnątrz zobaczyć warto. Tak tu ładnie, czyściutko. Ciekawam, co Was tu najbardziej zajmie, bo mnie, powiem prawdę, spiżarnia. Czy też dobrze zaopatrzona? Bo jak tak przyjdzie całą zimę przesiedzieć daleko od miasta, to przecież trzeba mieć duże zapasy w spiżarni. Marysia to świetna gospoia, chętnie nam wszystko pokaże, a wstydzić się nie potrzebuje. Chodźmy za nią do spiżarni!

Jak tu ładnie! I chyba pytać, czego tutaj niema? A więc pod ścianą stoją skrzynie z mąką, ciemna razowa i bielutka pszenna, są wory z fasolą, grochem. A tu, koło drzwi skrzynia z cukrem. Ale patrzmy, tam w górze, na tych półkach ile słoików? To konserwy z jarzyn najrozmaitsze, a więc marchewka, fasolka, groszek, szparagi nawet, a tu grzyby marynowane, tam dalej wiszą całe wianki suszonych. A z tej strony znów półki. Stoją tu — zgadnijcie co! — Konfitury i miodu cała beczka. O miodu to Marysia ma bardzo dużo, bo ma własną pasiekę i tak umie pięćkami zarządzać, że dobrze pracują. To też miód Marysia sprzedaje jest wyjątkowo dobry, wszyscy chętnie kupują i dobrze płacą. A pieniądze kupuje Marysia to, czego sama nie ma lub zrobić nie może, a więc świece, zapalki, naftę, węgiel, drzewo, no, i wiele innych potrzebnych rzeczy.

Tak wygląda gospodarstwo małej gosposi Marysi.

Ale jest inna wielka gospodyni, która również musi mieć dobrze zaopatrzoną spiżarnię, bo myśleć musi o wielu, wielu ludziach, o całym kraju, by wszyscy mieli co jeść i w co się ubrać. A żeby to, by w

żarni niczego nie brakło, pracować muszą wszyscy, bo wtedy tylko może być naród szczęśliwy, jeżeli potrafi dobrze gospodarzyć. Te wszystkie bogactwa, które daje mu własna ziemia, musi umieć zebrać, przerabiać, pomnożyć, a gdy jest czego za dużo, to niema się co martwić, ale tak, jak Marysia, sprzedać to innym krajom, którym tych bogactw brak, a wzamian kupić to, czego nam niedostaje, a co niezbędnym jest w dobrem gospodarstwie.

Zobaczymy, jak to u nas w Polsce taka gospodarka wygląda.

Głównym bogactwem Polski jest węgiel. Może nam go wystarczyć na długie lata i inne kraje zasilać nim możemy, to też wiele go wywozimy. Ropa naftowa służy do opalania motorów parowych, daje naftę do oświetlania, wyrabia się z niej benzynę, potrzebną do samochodów, samolotów, łodzi podwodnych a także różne smary do motorów. Ropy naftowej, benzyny i smarów również bardzo wiele wywozimy do innych krajów.

Polska jest prawie jedynym krajem, posiadającym wosk ziemny, potrzebny do wyrobu świec i pasty do podłogi. Poza tem mamy jeszcze cynk, którego dużo bardzo wywozimy i rudę żelazną, ale ta nie jest tak dobra, jak gdzie indziej, musimy więc rudę w innych krajach kupować i mieszać z naszą i dopiero wtedy możemy jej użyć do wyrobu różnych rzeczy.

To wszystko, co Wam tu wyliczyłam, nazywamy kopalinami, dlatego, że znajdują się w ziemi i stamtąd dopiero wydobywać je musimy. Nie, o jednym zapomniałam! A czy wiecie, o czym? Coś, co nam bardzo i codziennie jest potrzebne. Zgadnijcie... Sól! Soli mamy bardzo wiele, na pewno słyszeliście o Wieliczce i Bochni, gdzie są najstarsze kopalnie soli w Polsce.

A teraz zobaczymy inne wielkie bogactwo Polski: glebę. Bo trzeba Wam wiedzieć, że Polska to przedewszystkiem kraj rolniczy. W niektórych jej częściach, a to na Wołyniu i Podolu jest niezwykle urodzajna gleba. Tyle tam jest tych soków pożywnych, że ziemia jest od nich tłusta i czarna, nazywa się też czarnoziem. Na tej glebie dojrzewają różne gatunki zboża, a więc pszenica, żyto, jęczmień, owies, buraki cukrowe i len, z którego tka się płótna. Tego wszystkiego daje nam nasza ziemia tak wiele, iż mamy dosyć dla siebie i dla innych. Tylko buraków nie wywozimy, przerabiamy je u siebie na cukier i dopiero gotowy cukier sprzedajemy innym krajom. Sprzedajemy również jaja, masło i mięso, a najwięcej wieprzowego, bo świnek hodujemy w Polsce bardzo wiele.

Nie zapominajmy o lasach, których w Polsce jest dużo. Te śliczne zielone lasy, po których tak miło jest biegać, szukać grzybów i jagód, to również wielkie bogactwo. Gdy drzewa dojdą do odpowiedniej grubości, ścina się je. Naturalnie trzeba to umiejętnie robić.

Dzieli się las np. na 60 części i co roku wyrąbuje się jedną taką część, potem się ją karczuje, to znaczy wyjmuję korzenie z ziemi i sadzi się nowe drzewka. I tak po 60 latach wraca się do tej pierwszej części lasu, gdzie drzewka wyrosły już przez ten czas na duże i grube drzewe. To drzewo potrzebne jest nie tylko na opał, robi się z niego najroz-

maitsze rzeczy, a więc: stoły, krzesła, łóżka, szafy, robi się meble zwykle, skromne, robi się i bardzo ładne i kosztowne. A i przy budowie drzewo potrzebne, a maszyny na okrętach robi się z tych ślicznych smukłych sosen, które, gdy stanąć w lesie i patrzeć w górę, zdają się niebo podpierać, tak są wysokie! I do wielu, wielu innych rzeczy używa się drzewa.

Teraz wiecie już, jakie bogactwa posiada nasza ziemia, ale same te bogactwa jeszcze nie wystarczają. Istnieją wielkie fabryki, w których pracują rozliczne maszyny i przerabiają surowiec, to jest to, co nam ziemia daje, na najrozmaitsze rzeczy ludziom potrzebne. I tak: buraki na cukier, wełnę i len na różne materiały, z których później szyje się suknie, ubrania, bieliznę. I ta właśnie praca nazywa się przemysłem. To, co Wam tu opowiedziałam, to tylko mała część wielkiego przemysłu. Wiele z tych rzeczy, które wyrabiamy a także i te surowce, których mamy za wiele dla siebie, sprzedajemy innym krajom.

Podam Wam tutaj artykuły, które wywozimy z Polski, to znaczy sprzedajemy, w takim porządku, że zacznę od tego, którego najwięcej sprzedajemy a skończę na tym, którego sprzedajemy najmniej:

Węgiel, bale, deski, łąty, trzoda chlewna, cynk, tkaniny bawełniane, mięso, jaja, cukier, żyto, kłody, kłocce, pszenica, jęczmień, podkłady kolejowe, przedza wełniana, blacha, benzyna, bydło rogate, parafina, tkaniny wełniane.

Wielu też rzeczy nie mamy u siebie i te musimy sprowadzać czyli kupować w innych krajach. A więc nie mamy: ryżu, kawy, kakao, herbaty, bawełny, kauczuku, oliwy, owoców południowych, jak figi, pomarańcze, banany, migdały i inne. Brak nam też różnych metali, skór. Kupujemy również obuwie, odzież, papier, samochody, tytoń, mąkę pszenną. A ta czynność kupowania u innych tego, czego nam brak, a sprzedawania tego, czego mamy poddostatkim, nazywa się handlem.

Oto pokrótce opowiedziana historia o gospodarce kraju.

Uczcie się na małym u siebie mądrze i dobrze gospodarzyć, uczcie się rozumnie pracować, by jak dorośnięcie, stać się pożytecznymi dla kraju obywatelami.

*M. Merczyńska.*

## TAJEMNICA PARKÓW WARSZAWY.

Piękne są parki naszej stolicy... Każdy prawie zna trochę piękne Łazienki Królewskie, park Skaryszewski, ogród Saski, Ujazdowski, Botaniczny i inne. Jeśli nie z widzenia, to przynajmniej ze słyszenia, z książek, fotografii w pismach.

Nie mieszkając w Warszawie, korzystam z każdej rzadkiej sposobności, gdy mam trochę czasu, aby odwiedzić te ukochane zakątki.

I oto, co właśnie zastanawia mnie dziś w tej wędrowce. Są miejsca w parku, gdzie głosy ptasie i dzwoniące, radosne wypełniają zda się powietrze, zagłuszając wszystko. Wtórują one gwarowi głosów dziecięcych, ufne i beztroskie. Ptaki kręcą się tuż przy drodze, nie bojąc się wcale bawiącej się dziatwy, która nawzajem nie zwraca na nie uwagi, ale też



ich nie krzywdzi. Poznaje grubodzioba, gila, kilka gatunków sikor... Wszystkie na krótko znikają w grupie drzew, by za chwilę powrócić, skwapliwie dziobiąc coś na uboczu.

Wędruję dalej i spostrzegam zgrabny domeczek zielony, wychylający się zpoza drzew. Zdobia go cztery szybki szklane i daszek papą kryty.

Pod ten to daszek osłonięty szybkami odbywa się pielgrzymka ptaszków. Każdy opuszcza go z ziarnkiem w dziobku. Czasem któryś śmielszy gospodaruje w domku dłużej, wnet jednak wypraszają go inni przybysze. Widocznie i tu musi być porządek. I jakoś rzeczywiście nikt się tu nie pcha, widać, że dla wszystkich dość miejsca i pożywienia. Znać tu jakąś rękę opiekuńczą, dbającą o ten liczny zgłodniały lud. Oto dalej, w innym zakątku drugi taki domeczek! Widzę tu jednak coś, czego nie spostrzegłam, zapatrzona na ptaki przy pierwszym domku-karmiku: — tuż przy drodze, w pewnym oddaleniu od karmika — na niżutkim słupku przybita białą malowana skrzyneczka z ruchomą pokrywą. Na skrzynce napis:

*Liga Ochrony Przyrody, Sekcja Ochrony Ptaków.  
Pokarm dla ptaków.*

*Wkładać można: konopie, mak, proso, tłuszcz,  
słoneczniki i ziarna dyni.*



Karmik.

Zaglądam: — trochę ziarn na dnie skrzyni. Mam wielką ochotę dowiedzieć się, co to wszystko znaczy, gdy wtem na placu, rojącym się od dzieci, zjawiają się dwie dziewczynki, może dwunastolatki. W rękach mają teczki z książkami szkolnymi i wypełnione czemś torebki.

Śmiało wstępują na trawnik, pomimo napisu „Nie deptać trawników”, wysypują pod daszkiem zawartość torebki i coś notują w zeszytiku. Gdy wracają, widać na ramieniu opaski z napisem: „Koło opieki nad ptakami”.

Zaczepiam grzecznie

dziewczynki i proszę o zaspokojenie mej ciekawości. „Opiekunki ptaków” wyjaśniają mi wszystko:

— A więc: — karmiki stoją już od roku. Po 3—4 w każdym parku, zależnie od jego obszaru. W całej Warszawie jest ich około 30.

Większość wystawił magistrat swoim kosztem, lecz wystarała się o to „Sekcja Ochrony ptaków przy L. O. Przyrody”. W Łazienkach Zarząd parku wybudował karmiki i to najładniejsze, gdyż nietylko boki, ale i daszki są tam szklane. Własne również karmiki wystawił w tym roku na swych terenach Zarząd Filtrów Miejskich.

Białe skrzynki przy drodze przeznaczone są dla ofiar ze strony publiczności, odwiedzającej ogrody. I dlatego wypisane tam zostały pokarmy, jakie można składać, bo — anuż ofiarowanoby coś szkodliwego dla plectwa?

Pokarm stąd wyjmuje dozorca lub dyżurny opiekun czy opiekunka.

Niestety, zdarza się często, że młodsze dzieci składają do skrzynek resztki swych śniadań, które łatwo kwaśnieją na wilgoci i szkodzą ptakom. To też koła opieki nad ptakami nie mogą liczyć na ofiarność publiczności i zdobywać pokarm muszą inną drogą.

Chcę wiedzieć jeszcze, co znaczą opaski na ramieniu.

— Otóż — wszystkie karmiki w parkach Warszawy oddane są pod opiekę dzieci szkolnych. Każdym parkiem opiekuje się inna szkoła. Co roku nauczycielki i nauczycielowie przyrody z tych szkół zbierają się w lokalu Sekcji Ochrony Ptaków i umawiają się na cały rok szkolny, jakim parkiem opiekować się będzie dana szkoła. Następnie, już wewnątrz szkół, kółka przyrodnicze ustalają dyżury ptasich opiekunów. C o d z i e Ń dwoje dzieci musi obejrzyć karmiki w „swym” parku. Nasiona zakupione przez L. O. P. ze składek dzieci szkolnych — przechowuje dozorca parku. Wolno mu wydać je tylko osobom upoważnionym. Opaski na ramionach wprowadzone są niedawno, a to dlatego, żeby nietylko dozorca, ale i wszystkie dzieci w ogrodzie wiedziały, że to są wyko-



Codziem dwoje dzieci musi obejrzyć karmiki.

nawcy ważnej sprawy. I dlatego też wolno im wejść nawet na trawnik i podejść do karmika.

Niektóre szkoły prowadzą równocześnie obserwacje nad tem, jakie ptaki przychodzą do karmika, jak się zachowują w zależności od pogody i t. p.

Czasem opiekunom towarzyszą nauczycielowie i wtedy obserwacje są oczywiście ciekawsze, a dzieci przytem zawsze czegoś się uczą.

Oto, czego się dowiedziałam od dwóch małych dziewczynek z opaską na ramieniu. Może, gdyby dzieci szkolne innych miast zwróciły się w tej sprawie do władz miejskich, miasto udzieliłoby im pomocy pieniężnej na zorganizowanie karmików w ogrodach miasta?

*Irena Ruszkowska.*

### Ś. P. ZOFJA ROGUSKA.

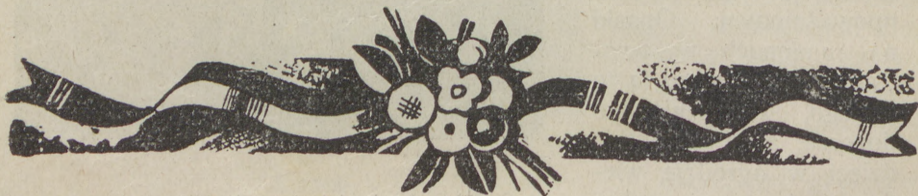
Dnia 31 stycznia, po krótkiej, gwałtownej chorobie umarła w Warszawie ś. p. Zofja Roguska.

W pierwszych latach istnienia „Płomyka” była gorliwą współpracowniczką naszego pisma, a nawet przez pewien czas redaktorką. Gdybyście mogli wiedzieć, ile zapału i serca poświęcała na to, żeby pisać dla Was wierszyki lub powiastki, żeby znajdować ładne obrazki do umieszczenia w „Płomyku”! Kochała „Płomyk” już wtedy, kiedy był jeszcze małym, rozpoczynającym swe dzieje pismem.

Brak czasu, zajętego pracą kierowniczką w szkole, nie pozwalał zmarłej na stałe zasilanie „Płomyka” Jej piórem. Ale nie zapomiała o dzieciach, współpracując przy wydawaniu książek w „Naszej Księgarni”. Napisała też dla Was niedawno książeczki, potrzebne przy urządzeniu uroczystości szkolnych, a mianowicie: „Święto niepodległości”, „Przy choince” i „Pożegnanie szkoły”.

Zawsze pogodna, idąca przez życie z wiarą we wszystko, co szlachetne, zawsze pełna dobroci a nawet poświęcenia dla swego otoczenia, zawsze i do ostatka z drobiazgową sumiennością spełniająca swe obowiązki, zesłała do grobu, zostawiając głęboki smutek w sercach nas wszystkich, którzyśmy Ją znali.

*H. R.*







Ułamczyska kłaniają się licznikami aż do samych stóp — do mianowników.

## KRAINA MATEMATIKUM.

Dokończenie.

Na drugi dzień po uroczystym śniadaniu zebrały się na lotnisku ułamki i oczekują z niecierpliwością na dobrego lotnika. Lotnik poprzedzony przez straż prezydenta przystąpił do samolotu. Ułamczyska kłaniają się licznikami aż do samych stóp — do mianowników.

— Witajcie, kochane ułamki! Mnóstwo was się tu zgromadziło, ale każdy *właściwy ułamek* przejedzie się ze mną na maszynie. Tylko coś za wiele was się tu zebrało, nie do wiary, nie do wiary, żeby tyle było biedoty ułamkowej w tak ślicznej krainie.

Uśmiechnął się lotnik, pokiwał głową z niedowierzaniem i począł iść przed szeregiem i każdemu uławkowi zaglądać w oczy. Co przejdzie kilka kroków, to chwyci żartobliwie którego z uławków za kołnierz i przeprowadzi go na drugą stronę. Gruchnęła na ten widok salwa śmiechu i zadowolenia wśród pozostałych uławków. Później wszystkie umilkły. Cisza. A mądry lotnik szedł i szedł, i usuwał niektóre ułamczyska z szeregu i nic nie mówił do samego końca. Tych uławków, usuniętych przez wesołego lotnika, było dosyć dużo; niektóre z nich były takie:

$\frac{2}{2}, \frac{3}{3}, \frac{3}{1}, \frac{4}{4}, \frac{5}{5}, \frac{5}{1}, \frac{7}{7}, \frac{10}{1}, \frac{13}{13} \dots$

Później namyślał się, obliczał coś, a gdy już mocno zaniepokojeni byli wszyscy gdy gwar i szept wzrastał, wskazał ręką na oddzielone

ułamki, które pobladły ze strachu, uśmiechnął się pod wąsem i rzekł wesoło:

— Ach wy „przebierańce”, to wy polskiego lotnika chcecie wprowadzić w pole? Wszak jesteście liczbami całkowitemi i latałyście już wczoraj! I wy, liczby całkowite, miałyście odwagę przebrać się, stanąć przede mną jako *pozorne ułamki* i czekać na drugi lot, gdy tyle jest właściwych ułamków?

Więc pozornym ułamkom zacerwieniły się buzie od wstydu i „odeszły z kwitkiem”. Lotnik pragnął być sprawiedliwym i jeszcze pozostałe ułamki podzielił na takie dwa szeregi:

- I.  $\frac{1}{2}, \frac{1}{3}, \frac{2}{3}, \frac{1}{4}, \frac{2}{4}, \frac{3}{4}, \frac{2}{5}, \frac{4}{5}, \frac{5}{6}, \frac{3}{7}, \frac{8}{9}, \frac{23}{30}, \frac{11}{70} \dots$   
 II.  $\frac{3}{2}, \frac{4}{3}, \frac{5}{4}, \frac{9}{4}, \frac{7}{5}, \frac{12}{5}, \frac{13}{10}, \frac{20}{11}, \frac{53}{20}, \frac{73}{40} \dots$

Następnie zwrócił się do II. szeregu i rzekł:

— Niewłaściwie uczyniłyście i wy, *liczby mieszane*, że przebrałyście się zupełnie za ułamki, przecież wczoraj mówiłyście, że pragniecie jeździć na samolocie razem z liczbami całkowitemi. Jesteście *ułamkami niewłaściwymi*, pozostańcie już lepiej jak wczoraj liczbami mieszanymi i oczekujcie. Jeżeli pozostanie mi trochę wolnego czasu, to was w drodze wyjątku jeszcze drugi raz wezmę na samolot. Ale teraz kolej na właściwe ułamki! Pakujcie się do samolotu, tylko nie róbcie ścisku! Gotowe! — Uwaga! Puszczam śmigło w ruch, lecimy pod niebiosa!

Kilkaście razy ładowały się ułamczyska do samolotu, tak dużo ich było.

A przed wieczorem dla świętego spokoju i dla sprawiedliwości wyjechały na samolocie poraz drugi liczby mieszane, czyli ułamki niewłaściwe ponad piękną krainę Matematikum. Wszyscy byli zadowoleni i radzi.

A gdy rankiem trzeciego dnia samolot „Orzeł Biały” przygotowany był do odlotu do Polski, bo lotnik zatęsknił do swej ojczyzny, do żony i do synka z V-go i córeczki z VI-go oddziału, zebrały się nieprzeliczone tłumy liczb całkowitych i ułamkowych, by pożegnać miłego gościa. Lotnik, wsiadłszy do samolotu, przemówił ostatni raz ze łą w oczach:

— Pierwszy raz przybyłem do waszej krainy Matematikum. Jesteście cudownym narodem, tak umiecie dowcipnie zamieniać się w różne *postacie liczbowe*, tak umiecie się stroić w rozmaite piękne cyferki. Liczby całkowite i ułamkowe, jesteście bardzo sprytnie i miłe istoty, dbacie o śliczny swój wygląd, dlatego jestem wami zachwycony. Opowiem wszystko o was, co słyszałem i widziałem mojemu kochanemu Jasiowi i Hani, a oni was pokochają na wieki. Teraz śpieszę dalej, mój silny samolot „Orzeł Biały” już łoskocze swym motorem. Żegnajcie, jadę do polskich dzieci.

Lotnik na „Orle Białym” jechał z szybkością błyskawicy do ojczystego kraju i myślał jeszcze o dziwnej wyspie Matematikum, a nad granicą Polski, gdy dojrzał na ziemi polskiego żołnierza, trzymającego straż, szepnął sam do siebie: — Myślały żywe liczby, że stary lotnik zapomniał matematykę. Chciały mię „wziąć na kawał”. Ale mój kochany Jaś i Hania będą mieli co słuchać, a później opowiadać innym dzieciom w szkole.

Marjan Sobolewski.



Za wielką szybko w cukierni,  
na samym środku, jak świeczka,  
stoi wśród tortów i ciastek  
czekoladowa laleczka.

Ma duże oczka niebieskie  
i buzię wesołą, rumianą.  
Jakże szczęśliwe te dzieci,  
które ją w darze dostaną!

Kto ją też kupi? Dla kogo?  
Któż to na pewno odgadnie?  
Tylu tu ludzi przychodzi,  
a każdy kupić ją pragnie.  
Zawołam biedną dziewczynkę  
i powiem: — Zaczekaj tutaj  
chwilczkę,  
przyniosę ci coś z cukierni:  
czekoladową lalczkę!

ADAM WISNIOWSKI.

## BUTNA BRZÓZKA.

W cienistym lesie, ze wszystkich stron osłonięta, rosła sobie brzózka. Zaczęła raz prosić brzózka przechodzącego chłopca:

— Gdybyś mógł wyświadczyć mi wielką przysługę, wyrębać dokoluteńka te wielgachne drzewiska! Przeszkadzają mi. W cieniu muszę rosnąć, w dusznym gąszczu.

Posłuchał chłop, wziął siekiere i zwałił stare drzewa potężne, cieniste. Mała brzózka stała na swobodzie, na wolnem, otwartem powietrzu.

Szczęśliwym uśmiechem witała brzózka nazajutrz słabe promienie wschodzącego słońca. Lekki powiew poranka muskał pieszczotliwie delikatnie, młode gałązki. Radość ogarnęła naszą brzózkę, zaszemrała, zaszepotała szeszczącymi wesoło listkami:

— Ach, jakież piękny jest świat! Odstoniło się przede mną wszystko. Cudownie teraz będzie żyć!

Nadeszło powoli południe. Słońce przypiekało niemiłosiernie. Mała brzózka nie miała się gdzie schronić. Nie było już zacisznej, cienistej gęstwiny starych świerków. Smutnie skłoniła zmęczoną głowę. Przywiędłe gałązki zwisały bezwładnie.

Przechodziło tamtędy stado kóz, a każda, przechodząc, uskubała z brzózki parę listków. Tylko na czubku małego liścia zostały. Stała brzózka nasza coraz to smutniejsza, wspominając, jak to dobrze było, kiedy ją jeszcze ze wszystkich stron ochraniali sąsiedzi.

Pod wieczór zebrało się na burzę. Wiatr okrążył brzózkę szalonym tańcem. Złem przecuciem ścisnęło się w niej serce. Szarpana wiatrem pochylała się to na jedną, to na drugą stronę, jakby chciała błagać o pomoc tych, których już nie było koło niej. Nie było się już gdzie schronić; znikąd oparcia, znikąd pomocy. Wicher zaświszczał, zawył, i jednym silnym uderzeniem złamał słabe, przywiędłe drzewko.

A wtedy brzózka, pokonana, przytuliła się twarzą do chłodnej ziemi i wspominała ze łzami rodzinny cienisty las.

(Z rosyjskiego).

## BAJKA O SZEWCZYKU CZYŻU I O BUTKACH SAMOBIEGACH.

Był raz szewczyk, zwał się Czyż, lecz tak mało miał roboty, że biedniuchny był jak mysz i wciąż tylko marzył o tem, aby dobra jakaś ręka zapukała do okienka, a głos miły rzekł mu: — Proszę, panie Czyżu, masz tu grosze, a choć pieniąż to niewielki, zrób za niego pantofelki! Niechaj będą piękne, nowe, bielusienkie, atlasowe, na wysokim obcasiku, a guziczki przy nich złote!

Czy je zrobisz, mój szewczyku? —  
— Chętnie, dzięki za robotę! —  
I tak sobie szewczyk marzył i sam sobie bajki prawił, wciąż czekając miłej twarzy, która się w okienku zjawi! Lecz do jego biednej chaty nikt zachodzić się nie starał, a naprzeciw szewc bogaty miał roboty coniemiarą! Aż nareszcie, raz w niedzielę, szewczyk, ciągle znosząc braki, długo modlił się w kościele o ratunek jaki taki.



... na trzewiczki pada księżycowy blask świetlany.

A gdy wrócił, myśl szczęśliwą  
Pan Bóg zesłał mu do głowy,  
więc wykrzyknął: — Jako żywo!  
Pomysł mam zupełnie nowy!  
Mam tu jeszcze skóry stare,  
jedna z nich jest dobra, gładka,  
zrobię więc trzewiczków parę  
dla chłopczyka pięcioletka!  
Czyż nie umiem? Także coś!  
Zrobię butki, jak się patrzy!  
Może też je kupi ktoś,  
gdy w okienku je zobaczy! —  
I nazajutrz od świtania,  
pełen werwy i ochoty,  
biedny szewczyk, bez śniadania,  
wziął się żywo do roboty.  
Mierzy, kraje, szyje żwawo,

kręci butem w lewo, w prawo,  
wbija kołki, stuka głośno,  
jakby ciszę bił nieznośną!  
Po podwórku biały dzień  
w pełni blasków swoich kroczy  
i słoneczne pęki lśnień  
przez okienko rzuca w oczy,  
a szewc groźnie zmarszczył brwi  
i pracuje wciąż w zapale.  
Słońce rzuca złote skry,  
a on o tem nie wie wcale!  
Rozzłociło się południe,  
a on wcale nie wie o tem,  
lecz pracuje coraz żmudniej  
i w podeszwy wali młotem.  
Aż dziwują się ludziska:  
— Co tam znowu? Kumie, słysz?

Wartoby się przyjrzeć zbliska,  
 jak pracuje szewczyk Czyż! —  
 I co chwila któraś głowa  
 za okienną, wąską kratą  
 pokazuje się i chowa,  
 ale on nie zważa na to.  
 Bije młotem, kręci dratwą,  
 sił ma dosyć, czasu wbród,  
 lecz to wcale nie tak łatwo  
 zrobić taki piękny but!  
 Już się słońko do snu chyli,  
 on zaś, choć mu zdrętwiał krzyż,  
 nie odpoczął ani chwili!  
 Taki to był szewc ten Czyż!  
 Już się dzionek w mroki skrył  
 i słońeczko się schowało,  
 a tu szewczyk cò ma sił  
 czyści swoją parkę małą.  
 Wysmarował,  
 wyglansował,  
 dokumentnie wypucował!  
 Już mu troska z serca spadła,  
 już od pracy zwolnił głowę,  
 wplótnął jedwabne sznurowadła —  
 i trzewiczki już gotowe!  
 — Teraz w oknie je postawię —  
 myśli szewczyk. — Śliczne są!  
 Będą stać jak na wystawie!  
 Może też je kupi kto! —  
 Szybko sprzątnął gdzie co trzeba,  
 potem zjadł kromeczkę chleba,  
 a że duszę miał dziś jasną,  
 więc położył się i zasnął.

Aż tu wnet do jego łóżka  
 przyszła śliczna jakaś wróżka  
 i powiada mu: — Szewczyku!  
 Panie Czyżu! Hej, Czyżyku!  
 Wstańże — zobacz buty swe,  
 czy to ty zrobiłeś je?  
 Szewc się zrywa, wstaje, siada,  
 patrzy w okno rozespany,  
 a tu na trzewiczki pada  
 księżycowy blask świetlany.

Patrzy, patrzy i nie wierzy,  
 włos mu się na głowie zjeżył,  
 bo trzewiczki z okna schodzą  
 i wędrują po podłodze!  
 Idą... idą... a tu wróżka  
 cicho szepcze mu do uszka:  
 — Szczera była twoja praca,  
 szczerze były twe zabiegi,  
 zawsze dobra chęć popłaca —  
 to trzewiczki - samobiegi!  
 A tymczasem parka mała  
 wprost do łóżka się zbliżała.  
 A gdy były już wpobliżu,  
 przystanąły, odsapnęły,  
 i tak mowę swą zaczęły:  
 — Wysłuchaj nas, panie Czyżu!  
 Biedy masz po same brzegi,  
 a od głodu jużes zbladł!  
 My jesteśmy Samobiegi,  
 więc pójdziemy sobie w świat.  
 Gdy będziemy chodzić same,  
 uczynimy ci reklamę!  
 I zrobimy, co zechcemy!  
 A może z was myśli ktoś,  
 że my chodzić nie umiemy?  
 Nie umiemy? Także coś! —  
 I w księżycu blasku złotym  
 od łóżeczka aż do drzwi  
 puściły się na piechotę,  
 aż w obcasów poszły skry.  
 Chodzą, chodzą, tupią, wałą,  
 to się zbliżą, to oddalą,  
 i tak wreszcie się zmęczyły,  
 aż jęczyczki wywiesiły!  
 Szewc od śmiechu się zanosi,  
 na dziw taki patrząc rad,  
 potem swe trzewiczki prosi:  
 — Idźcie, bracia, idźcie w świat!  
 Gdy będziecie chodzić same,  
 uczynicie mi reklamę!  
 Więc trzewiczki poszły sobie,  
 poszły sobie w wielki świat!  
 A tu już i dzień się zrobił  
 i blask zorzy w okno wpadł.

*Dokończenie nastąpi.*



... pazurem zęba zahaczył i...

## MIŚ DENTYSTA.

Dokończenie.

Uradowany Dyrzymałko zerwał się na równe nogi, podskoczył do góry trzy razy, rozgląda się na wszystkie strony i figiel krukowi przebacza. Tuż obok widzi wielką, czarną jaskinię, a z głębi dochodzi głuchy pomruk. Nóżki ze strachu trzęsą się krasnoludkowi, o powrocie już zamysła, dygoce cały, bo jak tu wejść do czarnej nory? Ale ból zęba spokoju nie daje, więc jęknął dwa razy: — Oj! oj — koszyczek z miodem w rączce zacisnął i ostrożnie wślizguje się do ciemnej czeluści.

Stoi nieboraczek, stoi, rozgląda się na wszystkie strony, a odezwać się boi. Gdzieś w kącie poruszyła się wielka, brunatna masa i gruby głos wrzasnął:

— A ty tu czego? Zabieraj mi się stąd!

— Wszystko przepadło — myśli Dyrzymałko, mysiej dziurki szuka, by się w niej schować: — Ja... ja... pa... pa-nie Misiu, przyszedłem — głosikiem drżącym jąka Dyrzymałko, — bo mnie ząb boli oj... oj... oj, wiem, żeś ty taki mądry i uczony, że mnie wyratujesz.

— Mhmm, mhm — mruczy Miś i do Dyrzymałka się przysuwa: — Schrupię całego, to i ząb boleć przestanie — ryknie znów grubym głosem, aż siwa bródka ludkowi zatrzepotała ze strachu.

— Ja... ja... przyniosłem plaster miodu.

— Mhmm, mhmm, miodek rzecz dobra — oblizuje się udobruchany Miś dentysta, — zwłaszcza jak pszczołki od niego zdala, nie ukłują. Dawaj miód, krasnalu, zęba ci za to wyrwę.

Ale Dyrzymałko mocno koszyczek trzyma, Misia się już nie boi i mówi:

— Nie będzie zęba, będzie miód.

— To otwórz paszczkę, ty mądralu. — I Miś w swe kosmate łapy Dyrzymałka porywa.

Otworzył nasz krasnolud buzię jak wrota, a strach z wielkimi oczyma za włosy go chwycił. Miś dentysta wielkie okulary na nosie poprawił, pazurem zęba zahaczył i...

— Aj! — wrzasnął raz tylko Dyrzymałko i biały ząbek na ziemię się potoczył. Krew z buzi bucha, więc krasnalek do potoku prędko biegnie i wodę pije, płócze i pluska i pryska.

— Łapaj! Trzymaj! — ryczy Miś, oddaj miód, ty gałganie!

Wraca prędko zdrowy Dyrzymałek, złoty plaster miodu z koszyczka wyciąga i jabłuszko rumiane na dodatek, pięknie kapelusikiem się kłania i Misiowi dziękuje. A Miś zadowolony pomrukuje, językiem oblizuje pysk kudłaty i zajada miód, a złote krople na kosmatem futrze perełki niszczą.

— Dowidzenia, Misiu, Bóg zapłać za przysługę — żegna się Dyrzymałko i z jaskini się wysuwa.

Droga do domu daleka. Słonko już dawno spać poszło w fale mórz, noc ciemna, jak czarna jagódka, a tu tyle rzek, tyle dróg, tyle drzew i tak daleko do domu, gdzie Krysia sierotka dobrą kolację nawarzyła.

Więc zafrasował się nasz Dyrzymałko i nad losem swoim biada.

— Frr, frr — sfrunęła cicho z krzaka sowa zielonooka: — Krasnalku, krasnalku, nie martw się, przypomnij, jak mi nóżkę złamaną wyleczyłeś, dziś ci się odwdzięczę, siadaj na mój grzbiet, polecimy prędziutko!

Sowa — to najpewniejszy aeroplan, więc wygodnie krasnolud w miękkie puchy zasiadł. — Frr! — polecieli, wzbili się odrazu nad ciemny las, gwiazdki mrugały do nich jasnemi oczkami, księżyc uśmiechnął się od ucha do ucha, a oni cicho lecieli w dal. Wkrótce zabłyśły światełka i sowa siadła przed domkiem.

Wybiegła Krysia sierotka, z radości aż w rączki klasnęła i na szyję Dyrzymałka się rzuciła.

— Niema zęba, dawaj jeść, Krysiu, i sówkę przyjaciółkę poczęstuj.

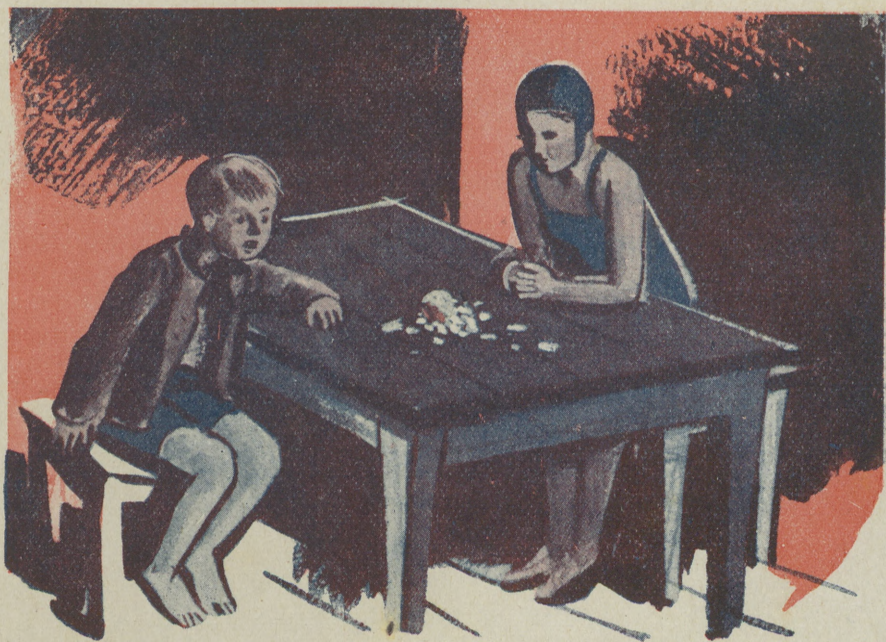
Radość zapanowała w dziupli dębowej, krasnalek przygody opowiadał, Krysia sierotka piosenki śpiewała. Sówka, podjadłszy sobie, dziób o skrzydełka wytarła i, pożegnawszy się pięknie, w ciemną noc frunęła — ptaszki straszyc.

A krasnolud zmęczony prędko zasnął i chrapał głośno. Za przypiekiem świerszcze cudny koncert na cześć Misia dentysty rozpoczęły, ale słuchała ich tylko nocka, która czarnymi oczami przez okienko zaglądała.

*Róża Gużkowska-Janicka.*







... przyglęły mocno do słonecznej kuli bursztynu...

24)

## BURSZTYNOWY TALIZMAN.

Opowiadanie z czasów dzisiejszych.

Napisała E. Szelburg-Zarembina.

Krzyżacy to umyślili napaść nocną zdradą na spokojne miasto, a bezbronną ludność miejską i okoliczną, w dzień ten tłumnie zebraną, co do nogi wyciąć! A ziemię przywłaszczyć niemieckiemu panu.

Już idą! Już się okrzyknęli hasłem zbójcekiem.

Zabrakło widać tchu dziewczynie. Szepcze tylko:

— Krew! Krew miesza się z błotem targowiska! Krew spływa ulicami, rynsztokami do żółtej Mołtawy, do szarej Wisły i Raduni.

Zacisnął Piotruś obie pięści. Porwał się z miejsca! Na ratunek chce komuś lecieć! Na czyjeś ukaranie!

Kogo ratować? Kogo karać? To było tak dawno. Lata całe.

Opamiętał się Piotruś, potrząsnął za ramię dziewczynę:

— Jadwiśka! Jadwiśka! Opamiętaj - że się i ty!

Bursztynowa dziewczynka jakby go nie widziała wcale. Brytkę bursztynu tuląc w rękę i ramionami kołysząc, jakby małe dziecko kołysała, nuci cichutko starą pieśń kaszubską.

— A w Raduni krwawo woda,  
szkoda uoćca, dziecko, szkoda...

Aż wysunął się bursztyn z ręki dziewczynie... po urwisku się potoczył wdół, wdół, pomiędzy bryły gliny i kamienie...

Skoczył Piotruś na łeb na szyję wydostawać go stamtąd. Zakrzyknął na Jadwisię o pomoc, zeskoczyła i ona. Z trudem znaleźli bryłkę, wpłataną w wiszące nad samą przepaścią korzenie jałowca.

Wracali w milczeniu.

Dopiero gdy minęli gąszcze i wyszli na ludną plażę, przed oczyma mając daleką mgłę, kryjącą wolne miasto Gdansk, a tuż z boku bliski widok gdyńskiego portu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, odetchnęli i z ulgą przetrarli oczy, jak po śnie.

\*

Nazajutrz przyniosła Jadwisia odpowiedź Karla na list Piotrusia.

— Miałam ci nie oddać tego listu Karla — powiedziała z wahaniem dziewczynka. — Myślałam nad tem całą drogę. Ale przeczytaj sam i osądź, czy on, ten Karl, może być przyjęty do naszego klubu.

Śpiesznie rozdarł Piotruś szarą bibulastą kopertę.

— Po jakimu to pisane? — wykrztusił. — Po niemiecku?

— Tak — powiedziała Jadwisia, pochyliła się nad skrawkiem papieru, wydartym widać z jakiejś starej rachunkowej książki:

— *Mein Freund! — Mój przyjacielu! — Ich bin glücklich... — Jestem szczęśliwy —*

— Czekałże — przerwał z gniewem Piotruś. — Więc on jest Niemiec?

Piotruś ścisnął trzymaną w rękę cudowną bryłkę bursztynu, z której przecież miało być wyrobione serce dla nowego członka Klubu Bursztynowych Serduszek, dla tego Karla!...

— Dosyć! Nie chcę mieć nic do czynienia z Niemcem, z tym potomkiem niegodziwych Krzyżaków.

Wyrwał list Karla z rąk Jadzi, podarł go na kawałki, strzępki rzucił na stół. Był bardzo wzburzony.

Był bardzo wzburzony.

— I my chcieliśmy takiemu dać nasz bursztyn! — Wytarł bryłkę bursztynu troskliwie o rękaw kurtki, aż żywiej zalsniła. — Popatrz, Jadziu, przecież to prawdziwy talizman! — i położył bursztyn na stole pomiędzy nią a sobą.

A wtem, o dziwo! Wszystkie strzępki papieru, zapisane słowami Karla, poderwały się i przyłgnęły mocno do słonecznej kuli bursztynu, dziwną jego siłą przyciągnięte.

Zaskoczony tym widokiem Piotruś, szeroko otworzył oczy. A Jadwisia, jasnowłosa Pomorzańska, śliczna i mądra Bursztynowa panienska położyła mu swoją rękę na ramieniu i szepnęła do ucha:

— Widzisz? To jest widać naprawdę talizman. Ta bryłka bursztynu, w pomorskim piasku znaleziona, zachowuje się tak, jakby miała w sobie serce — serce, które przebacza i do siebie pociąga.

Czyż my, ludzie, nie możemy się zdobyć na to samo?

*Dalszy ciąg nastąpi.*

24)

## TAJEMNICA HOGGARU.

*Napisał L. Życki-Matachowski.*

— Małpki bardzo się między sobą kochają i ogromnie dbają o swoje pocieszne dzieci. Raz miałem małpkę i, żeby jej się nie nudziło, kupiłem dla niej za parę groszy od murzyna młode małpiątko. Moja małpka zaraz się niem zaopiekowała, dawała mu jeść i pić, czesała i iskała z robactwa. Na chwilę nie pozwoliła sobie go zabrać. Rzuciła się nawet na mnie i gryzła...

Ale małpiątko źle się czuło w niewoli i po pewnym czasie umarło... Małpka była w strasznej rozpaczce. Ale trudno... Zabraliśmy jej małe i wrzuciliśmy do starej studni i przywaliliśmy je kamieniami. W nocy małpka przegryzła sznur, na którym była uwiązana, czego nigdy nie robiła, wydobyla małe ze studni i przyniosła do domu. Trzeba było wziąć małe ciało i utopić.

Ale małpka była coraz smutniejsza i, kiedy, chcąc ją wprowadzić w lepszy humor, spuściłem ją z łańcuszka, uciekła do lasu i więcej nie wróciła.

Nie chciała zostać na miejscu, gdzie straciła przedmiot swego ukochania — skończył swe opowiadanie wiertacz Nosek.

Statek minął wreszcie Gibraltar i skierował się w stronę czerwonego lądu Afryki, gdy naraz rozległ się głos dzwonu, zwołujący wszystkich na pokład. Telesforek oderwał się od burty na tyle okrętu, gdzie wpatrywał się jeszcze w uchodzące wybrzeże Europy i pobiegł na przedni pokład, na którym przygotowywano się najwidoczniej do jakiejś ceremonii. Dwaj majtkowie wynieśli z kajuty kapitana stół, nakryli go zielonym suknem i ustawili kilka krzeseł, na których zasiedli: kapitan, pan Łamicki, wujaszek i dwaj inżynierowie. Reszta stanęła opodal z ciekawiona. Telesforek stanął na boku wraz z innymi, czekając na wyjaśnienie tych przygotowań, gdy nagle usłyszał głos kapitana:

— Telesfor Łamicki...

Odruchowo, jak przy zbiórkach harcerskich, stanął na baczność i zawołał: — Jestem!

— Zbliź się!

Telesforek podszedł do stołu i kapitan zwrócił się doń temi słowy:

— Zezwalając ci na odbycie podróży na statku, którego jestem komendantem, postawiłem za warunek, żebyś pracował nad językiem francuskim i nad geografją. Od rezultatów tej pracy uzależniłem wysadzenie cię na lądzie afrykańskim, czy też zabranie zpowrotem do kraju. Teraz przyszła chwila zbadania, jak spełniłeś postawiony ci warunek. Stoisz przed komisją egzaminacyjną.

Telesforek spodziewał się czegoś podobnego, ale nie przypuszczał, że to się stanie z tak wielką pompą. To też zapomniat języka w gębie i dopiero przywróciło go do przytomności pytanie wujaszka z zakresu gramatyki francuskiej. Telesforek zebrał siły (zbytnią nieśmiałością już to nie odznaczał się nigdy) i począł odpowiadać. Pytanie padało za pyta-

niem, lecz nawet najsurowszy sędzia musiałby przyznać, że chłopiec odpowiada dobrze.

Niemniej jednak wielką radością napełnił go wyrok, który po krótkiej naradzie został wydany, a który orzekał, że Telesforek, wykazawszy dostateczne postępy, ma prawo wzięcia udziału w ekspedycji.

Wyrok ten wprawił chłopca w szal radości. Rzucił się na ojca, począł go ścisnąć i całować, potem to samo powtórzył z wujaszkiem a nawet z kapitanem Podbielskim. Po skończeniu tych czułości pobiegł na przód okrętu i wpatrzył się przed siebie.

Przed nim rósł na widnokręgu ląd afrykański. Poza szarą i zieloną linią wybrzeża powstawały na horyzoncie łańcuchy gór i dalej za nimi tała się jakaś przestrzeń nieznana i ogromna — Sahara.

Brzeg zbliżał się coraz bardziej i wkrótce już dało się dostrzec gołym okiem miasto, będące zlepkim bieli, cynobru i zieleni, miasto oczekiwane... Oran.

#### NA PRUGU AFRYKI.

Po przybyciu „Przyszłości” do Oranu, udano się na poszukiwanie Sidi Ibrahima. Nie trwało ono długo, gdyż Sidi Ibrahim był osobistością wielce znaną i poważaną nie tylko w Oranie, ale w całym północnym Algierze. Słynął bowiem z wielkich bogactw a jeszcze więcej z wielkiego rozumu i sprawiedliwości. To też pierwszy robotnik portowy, zapytany o niego, ofiarował się chętnie na przewodnika i po kilkunastu minutach pan Łamicki z wujaszkiem i Telesforkiem wkraczali już do lokali biurowych towarzystwa przewozowego „Sidi Ibrahim”.

Na ich spotkanie wyszedł czarny sługa i, spytawszy o nazwiska i cel przybycia, zniknął w dalszych pokojach. Zaledwie zdążyli się rozejrzeć po poczekalni, która tem się różniła od banalnych poczekalni biur europejskich, że była umeblowana po maurytańsku, drzwi się otwały i stary, wspaniałej postawy Arab stanął na progu. Ubrany był w bogate, złotem haftowane szaty i zielony zawój na znak, że odbył podróż do Mekki. Na piersi miał krzyż oficerski Legji Honorowej. Arab podszedł do nich i przedstawił im się z całkowitem zachowaniem form europejskich, jako Sidi Ibrahim. Za nim czarny służący wniósł niedołączoną od każdego przyjęcia na wschodzie tacę z czarną kawą.

Sidi Ibrahim był doskonale poinformowany o celu podróży ekspedycji i o ładunku, jaki ta ekspedycja ze sobą ma zabrać. Zaraz też przywołał urzędnika i dał mu polecenie zajęcia się wyładunkiem i przeprowadzeniem niezbędnych formalności celnych. Zlecenie swoje poparł kilkoma słowami w języku arabskim, na które urzędnik uśmiechem i skłonieniem głowy dał do zrozumienia, że pojął myśl swego pana. Potem poinformował ich, że przygotowanie karawany wielbłądów do wymarszu potrwa kilka dni i poprosił, by zechcieli przez ten czas uważać jego dom za swój i rozgościć się w przygotowanych pokojach. Prosił też, by zechcieli spocząć po trudach podróży lub zwiedzić miasto, jeżeli im to bardziej dogadza a wieczorem uczynić mu tę łaskę i podzielić z nim posiłek.

*Dalszy ciąg nastąpi.*



Fot. Marja Gniazdowska.

— Uspokój się, to ci wytłumaczę...

## FABRYKA SZCZĘŚCIA.

Chłopcy mieli iść z ojcem do cyrku. Oddawna z ożywieniem rozprawiali o tym wspaniałym wieczorze, który obiecywali sobie spędzić wśród „wstrząsających nerwami” wyczynów trapezistów i „mrozących krew” popisów pogromcy dzikich zwierząt.

Już wszystko zdawna zostało uplanowane, ułożone i niecierpliwie oczekiwanie było niemal już połową przyjemności.

Wtem, jak grom z nieba, spada na Władka i Lecha wiadomość, że z cyrku będą — nici!

Akurat na ten wieczór przypadło ojcu jakieś ważne zebranie, więc o pójściu z chłopcami nie może być mowy.

— Bardzo mi przykro, — mówił — że wam muszę zawód zrobić, ale chyba rozumiecie, że inaczej postąpić nie mogę. Moje sprawy wymagają mej obecności na tem zebraniu. Pójdziemy do cyrku innym razem.

Tu zaczął się dramat...

Lech zbladł. Łzy napłynęły mu do oczu i, ze wściekłością zaciska-

jąc pięści, pobiegł do swego pokoju. Tu dał upust rozpaczcy. Rzucił się na łóżko i bił poduszkę.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał go ze zdziwieniem Władek. — Co ci się stało?

— Jakto, co się stało? — krzyknął, zrywając się na równe nogi Lech. — Czy ty nie rozumiesz, że nie pójdziemy dziś do cyrku?

— No, to co?

— To co?? Człowieku! — krzyczał chłopiec. — Czy ty nie rozumiesz, że cała nasza radość nanic, że będziemy siedzieli w domu, że pójdziemy najzwyczajniej spać, zamiast siedzieć w tłumie ludzi. Ja nie pojmuję, dlaczego i ciebie to do pasji nie doprowadza? Och, jaki ja jestem nieszczęśliwy!

— Ja? nie — odparł spokojnie Władek. — Ja mam „fabrykę szczęścia”.

— Co ty pleciesz? — wrzeszczał wyprowadzony z cierpliwości spokojem brata Lech. — Jaką znów fabrykę? Zwarjował!

— Uspokój się, to ci wytłumaczę — mitygował go Władek. — Jesteś taki zaperzony, jak indyk, więc dojsz do słowa nie mogę.

Mówiąc to, Władek zapalił sobie lampę na stoliku, przygotował książkę i zabierał się do czytania.

— No, to gadaj — mruknął Lech.

— Otóż powiedziałem ci, że mam „fabrykę szczęścia” — zaczął Władek.

— Co w niej wyrabiasz? Gdzie ona jest?

— Jest ona w mym rozsądku, a nie wyrabiam w niej nic, tylko przerabiam to wszystko, co mi się w życiu zdarza. Weźmy przykreść, jaka nas dzisiaj spotkała: prawda, że zostajemy pozbawieni dawno oczekiwanej przyjemności, ale pomyśl, jutro już wszystko należałoby do przeszłości, a tak, za kilka dni, gdy ojciec będzie mógł, pójdziemy i tak do cyrku, więc radość czekania przedłuży się, a przyjemność nas nie minie. Ale gdybyśmy nawet nie mieli wcale pójść, to „fabryka” moja ten zawód też potrafi przerobić na tak małą przykreść, że nie warto byłoby desperować. Czyż nigdy nie byliśmy w cyrku? Nigdy więcej nie pójdziemy? Co się odwlecze, to nie uciecze. Dziś będę czytał książkę i skończę ją, to jutro mamusia pozwoli mi iść do Zbyszka po inną. Bardzo lubię tam chodzić i widzisz — właśnie dlatego, że nie pójdę do cyrku, to skończę książkę i jutro będę u Zbycha. No, i widzisz, Lechu, że nie warto tak rozpaczać z powodu cyrku. Chcesz oddać do mojej „fabryki” twoje zmartwienie?

— No? — mruknął z uśmiechem Lech. — Cóż sfabrykujesz?

— Odróbnym lekcje na wtorek, to nam mamusia pozwoli w poniedziałek po obiedzie pojechać na wujka Kazia.

— Hurra! — krzyknął Lech, chwytając za tornister. — Niech żyje twoja „fabryka”: jutro pójdziemy do Zbycha, w poniedziałek do wujka, a może... może we wtorek do cyrku? Fajny z ciebie dyrektor, Władku!



## NA IMIENINY MARSZAŁKA.

Dokończenie.

BASIA.

A ja mam projekty inne:  
teraz w kraju dużo biedy,  
więc czybśmy nie powinni  
pomóc, gdy kto może kiedy?  
Znacie wszyscy tę Agnieszkę,  
co tu w domku obok mieszka;  
ojciec, matka — są bez pracy,  
głodno, chłodno — ot, biedacy!  
Więc się złóżmy choć potrosze,  
kto ma jakie swoje grosze  
i kupimy tej dziecinie  
choć buczki na tę zimę.  
Gdyby wiedział to Marszałek,  
pewnie wyrzekłby pochwałę,  
bo on pragnie — duzi, mali —  
aby wszyscy się wspierali.

ZOSIA.

A jabym kupiła  
kwiatków choć parę  
i do Belwederu  
poszłabym z darem.  
A jakby się Dziadek  
pokazał pierwszy,  
tobym powiedziała  
ładniutki wierszyk:  
„Przyjm kwiatki od Zosi,  
bo bardzo cię prosi,  
bo bardzo cię kocha  
maluteńka Zocha.  
Lecz się nie zachmurzaj,  
że troszkę nieskładnie,  
za rok będę duża,  
powinszuję ładniej”.  
Ach, nie mam pieniędzy,  
— matusia uboga,  
a do Belwederu  
daleka to droga.  
Jestem jeszcze mała,  
łatwo zgubić ślady,  
więc chociażbym chciała,  
nie dam sobie rady.

RÓZIA.

Nie martw się, dziecino,  
dam ci radę inną:  
około wieczoru  
pójdziemy do boru.  
W borze sosny rosną,  
gałązek nałamiesz,  
ozdobimy portret,  
co tu wisi w ramie.  
Zeby było paradnie,  
zielono i ładnie,  
aby sala cała  
choiną pachniała!

JĘDRUŚ.

A ja doń liścik wyślę  
ładny jak tylko potrafię,  
litery postawię śliczne,  
jak pan od kaligrafji.  
Napiszę równo i gładko,  
kleksów nie zrobię ni trochę:  
„Jędrusś całuje Dziadka,  
bo Jędrusś Dziadka kocha”.

FRANEK.

A ja jutro — w święta porę  
za leguna się przebiorę.  
(Pokazuje czapkę i szablę legionisty).  
Patrzcie, co ja tutaj noszę —  
zaraz będzie legun (przystraja się)  
— proszę!

Jeszcze tylko mundur, kołnierz,  
ot i ze mnie polski żołnierz!  
Szablę sobie też przypaszę,  
jak wożaki niegdyś nasze.  
I tak pięknie się ustroję,  
jak ci szarzy legioniści,  
gdy Komendant wiódł ich w boje,  
gdy szli dzielnie i ogniście.  
Raz-dwa — w lewo, potem w prawo! —  
maszerują rażno, żwawo —  
potem „stój!” — do góry głowa,  
dłoń przy czapce — salutować!  
Przed portretem jutro oto

powiem wierszyk ten z ochotą:  
 „Choć masz Marszałka buławę,  
 powagę i wielką sławę,  
 choć naród wielbi cię szczerze,  
 choć mieszkasz hen, w Belwederze —  
 dla dzieci przecie — bez zmiany  
 jesteś Dziaduniem kochanym.  
 Choć tak wysoko stoisz  
 i patrzysz z takich wyżyn,  
 dziatwa się ciebie nie boi,  
 dziatwa do ciebie się zbliży.  
 Bo wiedzą polskie dzieci,  
 bo już ta wieść hen, leci,  
 że Dziadek, choć minę ma srogą,  
 nie krzywdzi przecie nikogo.  
 Bo wiedzą już polskie dzieci,  
 bo już ta wieść hen, leci,  
 że Dziadek, choć ma taką minę,  
 kocha kaździutką dziecinę.  
 Że kocha miłością jedną

dziatwę bogatą i biedną  
 i wszystkie chciały uściskać  
 — te zdala i te zbliśka.

Pogłaskać wolnusiętko  
 swoją dostojną ręką  
 i z każdym się przywitać,  
 każdego o coś spytać.

I wiemy doskonale,  
 że stara się wytrwale,  
 by dzieciom na ziemi polskiej  
 płynęło życie bez troski.

Choć ludzi dziś mu tak wiele  
 winszuje mądrze i ładnie,  
 dziatwa ma przecie nadzieję,  
 że głos jej też nie przepadnie.  
 Choć mówić długo nie umie,  
 choć proste słowa dziecięce,  
 to Dziadek przecież zrozumie,  
 że ona go kocha najwięcej”.

*Anna Świrszczyńska.*

## NASZ MAJĄTEK NARODOWY.

Prawie każdy naród oblicza od czasu do czasu swój majątek. Jeśli bowiem chce się wiedzieć, czy kraj się rozwija, czy cofa, czy tworzy nowe wartości, czy też żyje tylko z nagromadzonych, należy wiedzieć, ile się posiada.

Mając dokładne obliczenia z wszystkich dziedzin życia gospodarczego, oraz znając wartość pieniężną poszczególnych składników, łatwo można obliczyć wartość całego majątku narodowego. Nie wszystkie przedmioty dają się jednak tak dokładnie obliczyć, np. sprzęty domowe, znajdujące się w prywatnych domach. W takich wypadkach obliczamy tylko mniej więcej — „na oko”.

Majątek narodowy polski obliczano już za czasów przedrozbiorowych. Według obliczeń historyka Korzona, majątek narodowy polski wynosił w r. 1790 — 16.249 milionów złotych obecnych. Ponieważ ówczesna liczba ludności na ziemiach Polski wynosiła 8.800.000, a powierzchnia ziemi — 519.090 kilometrów kwadratowych, więc przeciętnie na głowę mieszkańca wypadało 1.846 zł. obecnych. Inną wartość przedstawiał nasz majątek narodowy tuż przed wybuchem wojny światowej; wynosił on, według obliczeń Ministerstwa Skarbu, około 152 miliardów 65 milionów zł. polskich.

Jakże przedstawia się obecnie wartość naszego majątku narodowego? Otóż całkowity majątek narodowy da się obliczyć po uprzednim obliczeniu poszczególnych jego części. Trzeba więc będzie kolejno oszacować wartość: 1) ziemi, 2) lasów, 3) inwentarza żywego i 4) martwego, 5) budynków i gruntów miejskich, 6) przedsiębiorstw przemysłowych i górnictwa, 8) środków komunikacji, 9) kruszcu i pieniędzy zagranicznych.

Rachujmy więc pokolei! Polska posiada (bez lasów) 28.599.250 hektarów ziemi; przeciętna cena hektara wynosi 1.088 zł. — co pomnożone przez ilość ziemi da sumę 28 miliardów złotych.

Dalej — doliczyć należy wartość lasów. Powierzchnia lasów w całej Polsce wynosi 8.943,7 hektarów. Według obliczeń Ministerstwa Skarbu lasy te warte są 4.615,8 milionów złotych. Teraz przejdźmy do żywego inwentarza. Otóż konie, bydło, trzody, kozy, drób i ule dają sumę 7 miliardów 310,7 milionów złotych. Inwentarz martwy obliczają na 3 miliardy 611 milionów zł., a wartość budynków rolniczych szacują na sumę 14 miliardów 307 milionów zł. Teraz możemy już



Rajkiewicz Antoni, Piotrków Tryb. (1, 3, 4); Ramułtówna Madzia, Piaski k. Lublina (3); Rappczewski J., Włodzimierz (X); Rasowska Hela, Warszawa (X); Rogalska Irena, Kraków (3); Rokicki Stanisław, Chełm Lub. (3); Romańska Alina, Łuniniec (X); Roquigny Jan, Warszawa (1, 3, 9); Roszkowski Tadeusz, Łapy (2, 3); Rożko Kazimierz, Jezioro (3, 4); Rueger Leszek, Warszawa (1, 3); Ruchter Januszek, Sosnowiec (1, 3).

Sadzikowska Zosia, Kępno (4); Samsonowicz Jędrus i Hania, Warszawa (3); Sankiewicz Tadeusz, Grodno (3, 9); Satkowski Zdzisław, Roztoły (—); Schmidtówna Ewa, Katowice (3, 4); Schorówna Nusia, Lwów (1, 4); Schwarżówna Kryśia, Międzybrodzie (4); Sidorska Janka, Warszawa (3, 4); Sielicki Michał, Nowa Wieś (4); Sierecka Janina, Warszawa (4, 16); Siobowicz Stanisław, Zborowice (3, 4); Siobowiczówna Zocha, Tarnów (3, 4, 9); Skala Kubaś, Warszawa (X); Skarska Jadzia, Jabłonna—Legi. (3); Skopińska Helena, Krotoszyn (2, 4); Skrzyszewski Zbigniew, Jasło (1, 3, 4); Słomkowska Basia, Białystok (3, 8); Słowik Oskar, Łuck (3, 4); Smalec Eugenjusz, Warszawa (2, 14); Snarski Nionio, Białystok (X); Soblikówna Iza, Katowice (4, 14); Sobonkiewicz Feliks, Krynica — Zdrój (X); Sołtyśkowie Zdziś i Kryśia, Wadowice (3); Sosnowska Kryśia, Biniew (4); Sosnowski Adaś, Brwinów (8); Srzednicki Witold, Kraków (4); Stadnicki Jan, Zawichost (3, 4, 11); Staszewski Jerzyk, Warszawa (1, 3, 4); Stawińska Jadwiga, Żydomla (4); Stawska Bożenka, Garbatka (4); Steckiewiczówna Irenka, Warszawa (X); Stefańczyk Edward, Warszawa (1, 4, 15); Steifer Jerzy, Warszawa (4, 11); Steinhaus Julek i Kryśia, Warszawa (X); Stojakowski Stefan, Dąbrowa Górnicza (1, 14); Stopniccy Wiesia i Kazik, Pyzdry (4, 9); Stratyńska Krzysia, Stanisławów (3, 4); Strzyżewski Janusz, Poznań (X); Suda Zbysio, Baranów (4); Surowcówna Genia, Opatów (4); Susku Leonard, Moków (3); Szadkowski Janusz, Poznań (1, 3, 4); Szalek Bolesław, Sośnie (3, 4); Szawiejków Anna, Nowa Wieś (4); Szczeklikówna Janina, Pilzno (3, 4, 11); Szczepanowski Zbyszek, Chełmno (4); Szebesta Juljusz, Libusza (1, 4); Szczerski Wiktor, Andrychów (1, 3); Szepieniec Antoni, Jasło (4, 7); Szewczykówna Sabina, Szczawina (4); Szpak Romuś, Dąbrowa (1, 3); Sztapówna Janina, Zaczernie (3, 4); Szwarzmanówna Zofja, Warszawa (X); Szymańska Danusia, Warszawa (—); Szymankiewiczówna Linka, Gródek k. Mołodeczna (3); Śmiechowski Jerzy, Warszawa (3, 4); Świętkowski Wojciech, Warszawa (3, 8, 14); Świdnicka Zosia, Tucholka (4, 8); Świdziński Bohdan, Lublin (1, 4); Świrszczewski Leonard, Kowel (4).

*Dokończenie nastąpi.*



WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33.

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie Nr. 35 (wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska Nr. 18. Nr. telefonu administracji 322-18, redakcji 538-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka—HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny—MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



Wisła